

Ludobójczy mit żeńskiej płodności

23 lipca 2010

Niewinne, wydawałoby się, schlebianie kobietom może w niektórych wypadkach prowadzić feminizm ku ludobójczym praktykom. Jednak, jak zwykle, odrobina myślenia i matematyki pozwala zdusić feministyczne zapędy w zarodku.

Przyznanie racji absurdalnemu stwierdzeniu, że wszyscy ludzie są równi, zdawać by się mogło niewinnym a nawet pozytywnym, miłym i przyjaznym, choć fałszywym, gestem. W końcu coś można stracić przyznając słabszemu, że nie jest się od niego silniejszym? Otóż, gry w grę wchodzi feminizm, bardzo wiele, przede wszystkim życie.

Cytowałem już w jednym z artykułów (<http://interia360.pl/arttykul/feministyczne-mondrosci,35966>) pisarkę i nauczycielkę (sic!) Sally Miller Gearhart, głoszącą, że „Proporcja mężczyzn musi zostać zredukowana i utrzymana na poziomie w przybliżeniu 10% rasy ludzkiej”. Nie trudno zgadnąć, jaka „filozofia” stoi za tą i podobnymi złotymi myślami... Wcale nie ludobójcza filozofia nazizmu, rasizmu czy innego terroryzmu, tylko „sielankowa” filozofia równości.

Otóż zdaniem większości feministek, i sporej liczby osób, którym zdołały one wyprać mózgi, mężczyźni i kobiety potrafią zrobić dokładnie to samo i nadają się do tego samego, poza tym, że kobiety dodatkowo potrafią rodzić i karmić dzieci. Stąd natomiast niedaleko już do zbrodniczych myśli: po co w ogóle mężczyźni, skoro kobiety mogą robić wszystko to co oni, niech zostanie ich tyłu, ilu potrzeba by płodzić, a społeczeństwo mogą budować same kobiety.

Tak jak w nazistowskich „teoriach” rasowych, tak i w feministycznych koncepcjach ludobójstwa tkwi ziarno prawdy, i, tak jak w teoriach nazistowskich, tak i w tych feministycznych

nie więcej jest tego „zboża” prawdy niż ów jedno ziarno. W przyrodzie faktycznie wśród większości gatunków jedna z płci pełni w przyjściu na świat potomstwa rolę większą i zazwyczaj jest to samica (u niektórych gatunków samiec). Nazywamy to inwestycją rodzicielską. Przedstawiciele płci, która owej inwestycji nie ponosi (w aż takiej wysokości), są w stanie samodzielnie zapłodnić wiele przedstawicieli/ek płci, która ową inwestycję ponosi. Gdyby zakończyć wywód w tym miejscu, jak czynią to feministki, faktycznie można by pomyśleć, że da się bez negatywnych konsekwencji stworzyć społeczeństwo samych kobiet. Jednak w tym miejscu opowieść się nie kończy.

Ponieważ wielu samców może samodzielnie spełnić rolę zapłodniacza wielu samic, rodzi się między nimi współzawodnictwo. Konkurują oni o względy samic. Konkurencję tę mogą rozgrywać (i wygrywać) na dwa sposoby (również na obydwa na raz). Pierwszym jest strategia „szczęśliwej rodziny”. W jej ramach samica nie dopuszcza do siebie samca, póki ten nie poniesie na ich przyszłe dziecko podobnej inwestycji rodzicielskiej, jaką będzie musiała ponieść ona. Obrazowo ujmijmy to w ten sposób, samica ptaszka nie dopuszcza do siebie ptaszka, póki ten nie wybuduje gniazdka – zapamiętajmy ten przykład, jeszcze się nam przyda, gdyż świetnie pasuje do człowieka. Drugim sposobem jest strategia „macho”. W tym wypadku samica bierze na siebie trudy wydania na świat potomstwa, ale za to ma przywilej wyboru najbardziej dorodnego samca, w którego geny wyposażone zostanie jej potomstwo, ułatwiając temu potomstwu sprawne funkcjonowanie i łatwiejsze przeżycie.

Sprawdźmy, co by się stało z gatunkami stosującymi pierwszą i drugą strategię w przypadku ingerencji w ich losy przyrodnika o mentalności feministycznej. W wypadku „szczęśliwej rodziny”, gdyby przyrodnik wymordował 90% samców, nie byłoby komu wybudować gniazd dla młodych. 90% z nich nie wyklułoby się z jaj lub zmarło zaraz po wykluciu się. Sytuacja stałaby się równie tragiczna, jak ta, w której ów przyrodnik wymordowałby

90% samic, wtedy co prawda, gniazd byłoby pod dostatkiem, byłoby nawet mnóstwo zapasowych, zapewniających pisklętom jeszcze lepsze schronienie, tylko zabrakłoby 90% jaj, z których pisklęta te miałyby się wykluć.

Natomiast w wypadku „macho”, gdyby przyrodnik wymordował 90% samców, co prawda przychodziłoby na świat tyle samo potomstwa co wcześniej, ale byłoby ono znacznie gorszej „jakości”, miałoby sporo chorób genetycznych, upośledzeń i innych niedogodności, z powodu których na masową skalę by umierało. Bowiem w przypadku tej strategii i tak rozmnażało się tylko 10% samców, były to jednak samce przebrane, preselekcjonowane czujnym okiem partnerek i wypróbowane, samce najlepsze, natomiast gdyby od razu wymordowano 90% z nich, przetrwałaby statystyczna grupa 10% przeciętniaków.

Nasz gatunek stosuje obie wyżej wymienione strategie (choć raczej strategię szczęśliwej rodziny). Dzięki strategii macho mężczyźni, mimo iż duży rozmiar ciała nie jest im potrzebny do noszenia dzieci ani wytwarzania mleka, są o 10% wyżsi masywniejsi od kobiet i o pół odchylenia standardowego inteligentniejsi od nich. Natomiast dzięki strategii szczęśliwej rodziny większość z nas wychowywała się w pełnych rodzinach (zanim sędziny zaczęły uprzywilejowywać kobiety podczas spraw rozwodowych, tworząc paniom pokusę do częstszego składania pozwów – 75% pochodzi od kobiet). Jak widać wymordowanie 90% mężczyzn przyniosło by nie tylko tragedię osobom tej płci, ale też równie wielką szkodę kobietom.

Spróbujmy jednak, zainspirowani feminizmem, puścić wodze fantazji i zastanowić się, jakie skutki spowodowałyby wymordowanie 90% kobiet...

Wydawać by się mogło, że powinno spowodować to spadek dzietności (w tym wypadku z oczywistych względów liczonej nie dla kobiety lecz dla 1/2 osoby) o 82%, chwila namysłu (w wypadku feministek dłuższa chwila) pozwala jednak stwierdzić, że nic takiego by nie zaszło. Z taką sytuacją mielibyśmy do

czynienia tylko wtedy, gdyby kobiety rodziły dzieci tak często jak tylko mogą.

Szanse zajścia w ciążę przy pojedynczym stosunku seksualnym bez zabezpieczenia określa wzór $c = 1 - (1 - s)^n$, w którym c określa roczną szansę zajścia w ciążę, n ilość odbytych w ciągu roku stosunków natomiast s szansę zajścia w ciążę przy pojedynczym stosunku. Wskaźnik Pearl'a dla stosunków bez zabezpieczenia wynosi 85, co znaczy, że w ciągu roku kobieta kochająca się bez antykoncepcji ma 85% szans zajścia w ciążę. Durex podaje przeciętną liczbę stosunków seksualnych Ziemiańska w wysokości ok. 150 rocznie. Szansa zajścia w ciążę przy pojedynczym stosunku wynosi więc w przybliżeniu jakieś 1,25%. Przeciętny mężczyzna, uprawiając 150 stosunków w roku może więc spłodzić niecałą dwójkę dzieci a w całym swoim życiu ok. 80. Kobieta w ciągu swojego życia może natomiast urodzić ok. 40 dzieci. Zatem maksymalna liczba dzieci jakie może mieć mężczyzna jest zaledwie 2-krotnie wyższa niż ta, którą może mieć kobieta. Gdyby przyjąć, że przeciętny mężczyzna (co kłóci się z koncepcją przeciętności) nie będzie uprawiał tyle seksu ile przeciętnie, lecz 3 razy dziennie, niezależnie od świąt czy choroby, maksymalna liczba dzieci, jakie mógłby on spłodzić urosłaby 7-krotnie, czyli do poziomu 14-krotnie wyższego niż maksymalna liczba dzieci, jakie może urodzić kobieta. Trochę więcej niż tyle właśnie, ale jest to tylko rekord, wynosi najwyższa liczba spłodzonych dzieci, ponad 800, jaką miał jeden z poligamicznych królów, którego każdy stosunek faktycznie miał na celu zapłodnienie. Przeciętny mężczyzna może więc spłodzić 2-krotnie więcej dzieci niż przeciętna kobieta może urodzić, a 14-krotnie więcej, gdy się bardzo spręży, będzie całe życie zdrowy, w pełni sił, chętny i niczym nie zniechęcony.

Wydawać by się mogło, że w takiej sytuacji redukcja liczby mężczyzn o połowę czy też o 13/14 nie spowoduje szkód w dzietności a jedynie 1) w przeżywalności potomstwa, poziomie medycyny, poziomie życia i gospodarce, nie będzie bowiem komu

spełniać męskich ról żywicieli rodziny i ojców, oraz 2) w genetyce społeczeństwa, ponieważ rozmnażać będą się przeciętniacy. Tak byłoby jednak tylko, gdyby ludzie starali się posiadać maksymalną ilość potomstwa. Tak się jednak nie dzieje. Ludzie w Polsce posiadają średnio 1,3 dziecka, a na świecie trochę ponad 2.

Dzięki mężczyznom nie trzeba już, jak w czasach „jaskiniowców”, rodzić 40 dzieci, aby do dorosłości, również z pomocą mężczyzny, przeżyła 2-ka (bez jego pomocy nie przeżyłoby żadne, tak jak bez kobiety żadne by się nie urodziło). Śmiertelność niemowląt liczy się obecnie w promilach. Faktycznie w pewnym sensie to mężczyźni, którzy popychają cywilizację do przodu, „rodzą” za kobiety 90% dzieci.

Ludzie posiadają więc, i chcą posiadać, tylko 1-2 dzieci. I nie jest powiedziane, czy gdyby pojawił się niedobór którejś z płci, mając do dyspozycji większą liczbę partnerów płci przeciwnej, chcieliby oni posiadać ich więcej. A w każdym razie nie jest powiedziane, że mężczyźni chętniej daliby się namówić do ojcowania dzieciom wielu kobiet niż kobiety do matkowania dzieciom wielu ojców. Wydaje się, że to drugie byłoby bardziej prawdopodobne.

Tylko o ile wymordowanie połowy czy też 13/14 mężczyzn, nawet gdyby pozostali zechcieli płodzić na potęgę, spowodowałoby reperkusje cywilizacyjne, techniczne i gospodarcze, o tyle zredukowanie liczby kobiet, gdyby pozostałe zechciały rodzić więcej dzieci kilku dbającym o nie mężczyznom, nie przyniosłoby żadnych negatywnych reperkusji.

Przyjrzyjmy się temu na przykładzie Chin. W pewnym okresie czasu, od 1978 roku do 2018, jest dla Chin korzystne prowadzić politykę 1 dziecka. W Chinach, podobnie jak wszędzie na świecie, mężczyźni częściej pracują, częściej jest to praca na pełen etat i są w tej pracy wydajniejsi. Zwłaszcza w przemyśle, gdzie robotnik jest dużo potrzebniejszy niż

robotnica (podobnie było z niewolnikami, niewolnik kosztował kilkakrotnie więcej niż niewolnica – czyżby dyskryminacja pracodawców?). Wyobraźmy sobie, że w społeczeństwie Chińskim zamiast łączącej się w pary i posiadające 1 dziecko takiej samej liczby kobiet i mężczyzn występowałoby tylko 33% normalnego stanu kobiet, a więc stanowiłyby one jedynie 25% społeczeństwa. Każda z nich musiałaby wtedy urodzić jedynie 2 dzieci, aby zachować wskaźniki populacyjne na takim poziomie, na jakim wskaźniki te byłyby przy normalnej liczbie kobiet. Jednak siły roboczej byłoby w takiej sytuacji więcej. Na 1 wątlęgo pracownika (kobietę) przypadałoby aż 3 pracujących solidnie, podczas gdy wcześniej było to 1 do 1. Urodzenie 2 dzieci nie jest niczym trudnym. A kobieta żyjąca w Chinach pozbawionych 2/3 kobiet miałaby 3 mężów i żyłaby jak pączek w maśle. Gdyby liczbę kobiet zredukować do 20%, musiałaby one, żeby zachować dotychczasowy przyrost naturalny, rodzić tylko 3 dzieci, a miałyby 5 mężów. Gdyby ich liczbę zredukować do takiego poziomu, do jakiego proponują zredukować liczbę mężczyzn feministki, czyli do 10%, miałyby one 10 mężów i musiałaby rodzić zaledwie 5,5 dziecka, wielokrotnie poniżej przyrodniczej normy.

Niech więc feministki nie będą takie harde w demograficzno-biologicznej demagogii. Swoją agresywną retoryką wzbudzają bowiem jedynie coraz większą niechęć. Czasem niestety odbija się to nie tylko na nich samych, ale po prostu na kobietach.

Autorstwo: Redakcja www.maskulizm.pl

Źródło: iThink